

Parę kresek narkotyku

Od 3 do 23% morfiny, 5% narkotyny, od 0,2 do 6% kodeiny, 1% papaweryny, tebaina, laudanozyna, retykulina – taki oto narkotyczny sen na jednym ze swych prawiecznych sabatów stworzyli najwięksi czarci magowie i włali w puszki nasienne maku *Papaver Somniferum*. Wszystko to dla najpotężniejszego ze zwierzęcych rodzajów, by mógł odkryć magiczne właściwości tego czarodziejskiego remedium na ból tak fizyczny, jak i egzystencjalny. *Opium crudum, opium pulveratum, tinctura opii simplex, extractum opii omnoponum* – pełna gama ponadludzkich zdolności, zamknięta w płynach, proszkach, wyciągach i nalewkach. „Do wyboru, do koloru” – zachwala, naśladując cygańskiego tragarza, dealer odkrywający kolejne klapy swego tajemniczego kramu niesamowitości, ukrytego w długim, szarym płaszczu. I jeszcze jedno! Największe z zaklęć na świecie – miłość, jaką opium obdarza receptory opioidowe człowieka, uczucie najczęściej odwzajemnione, zawsze toksyczne... z trzecią kochanką w tle – regularnie zażywaną śmiercią.

Jean Cocteau leży wygodnie na ogromnym łożu w pięknym pokoju. Sennie przygląda się kręcącemu się nad jego głową wiatrakowi, z największym zaciekawieniem i czią wpatruje się w jego powolny, majestatyczny ruch. Łączy się z nim w radości okrążania świata, podziwia razem z nim piękno wschodzącego i zachodzącego światła stojącej na stoliku lampy. W końcu postanawia wyciągnąć ku swemu nowemu przyjacielowi rękę na powitanie. Delikatnie ją unosi lekko-ciężką, potężnie-bezwładną, by przypomnieć sobie, iż wentylator wisi na oddalonym o parę metrów suficie i teoretycznie kręci się szybko. Teoretycznie! W tym stanie wszystko to jedynie teoria. Spogląda lekko przymkniętymi oczyma na krzesło przy stoliku. Dzierżący w dłoniach kartkę i ołówek Marek Chaczyk odpowiada na jego spojrzenie uśmiechem. Cocteau przekręca się na drugi bok i rozpoczyna kolejną przyjaźń, tym razem z książką

leżącą obok łóżka. Z jej uginającą się pod palcami okładką, miękkimi stronami, lekko nakreślonymi literami, całymi wszechświatami znaków i przestrzeni. Chaczyk zaś przypatruje się leżącemu Cocteau. Niezauważony podchodzi bliżej, ogląda z każdej strony, niczym neurochirurg wkłada ołówek o kształcie skalpela w umysł i wyciąga zeń kolejne niezbędne informacje. Analizuje mądrością logika, wiedzą psychologa, sercem artysty. A potem na powrót zatapia się w fotelu i rysuje. Ruchami szybkimi, zdecydowanymi, pewnymi. Pozwala zdobytej przed chwilą wiedzy i wysączonym z umysłu pacjenta emocjom spływać wodospadem kresek na biel kartki. Zdejmuje kolejną maskę z twarzy Cocteau i odbija ją na kolejnym dziele.

Cocteau zsuwa się z łóżka, by niespiesznie podpełznąć do stolika. „Już czas, już czas” – słyszy słodki, kuszący szept wydobywający się z fajki, którą przed paroma chwiałami wziął w dłonie. Lekko uśmiecha się do siebie i zaciąga się dymem z przyjemnie dopasowanego do palców przedmiotu. Spogląda ponownie na fajkę, by stwierdzić, że jest ona częścią jego ciała, dodatkowym palcem, który wyrósł mu przed chwilą. Jego wzrok i ciało wędrują w górę, ku sufitowi za dymem dobywającym się z jego ust. Razem wylatują przez okno, unoszą się nad ulicami, miastami, nad ziemią, zdążają ku przestrzeniom niebieskim, mijają księżyc, obejmują ramionami gwiazdy, łączą się z nimi w sennym tańcu nocy. Chaczyk spogląda na Cocteau z fotela. Kolejnych parę kresek. Twarz modela pokrywa się liśćmi, w oczach promienieją ciała niebieskie, na ustach pojawia się przekrojony na pół uśmiech. Chaczyk podchodzi do rozłożonego w fotelu Cocteau i przenosi starannie na kartę zarys jego oczu. Jedno czarne, drugie białe, niesymetrycznie ułożone na twarzy, lekko przymknięte, mimo całej roślinności modela – delikatnie zwierzęce.

Cocteau rozpoczyna kolejnego walca z fajką w dłoniach. Tłumaczy starannie Markowi Chaczykowi, że tego wymaga od niego praca. Niektórzy mają wrodzoną zdolność tworzenia nowych światów, kreowania rzeczywistości, innym zaś tę zdolność daje opium. Pokazuje swemu portreciście szary pokój, w

jakim mieszka i opowiada o kolorach, jakimi się on napełnia, gdy jego ściany pokryją się delikatnym bluszczem gorzkawego dymu. To ten właśnie dym, zdaniem Cocteau, napełnia świat pięknem, przyjemnością, nadaje mu sens, sprawia, że karty życia zapisują się najprawdziwszą sztuką. Cocteau zaprasza Chaczyka do uczestnictwa w kolejnym akcie swego przedstawienia. Z najwyższą czcią wyjmuje fajkę i niczym szaman odprawia rytuał przemienienia czasu świeckiego w czas święty. Otwiera *axis mundi* ognia strzelającego w górę z dopiero co zapalanej zapalki, przemienia jednym oddechem *profanum* w *sacrum*. Marek Chaczyk notuje każdy jego ruch. Przedzielona na pół twarz portretowanego pokrywa się spalającym skórę ogniem, jego nozdrza rozszerzają się, tworząc z niego pół gada, pół człowieka. Twarz na rysunku zaczyna wykrzykiwać swą wyjątkowość, szczerząc kły i eksponując czarno-białe oczy. Cocteau, zapomniawszy o swym portreciście, kieruje się w stronę wyjścia z ekspresu życia. Jednym ruchem warg otwiera wyjście ewakuacyjne i wyskakuje. Osiąga absolut swego szczęścia. Znow unosi się całkowicie sam, bez najmniejszej potrzeby towarzystwa wysoko nad problemami małych jak mrówki ludzi. Niczym Bóg podziwia z niebios to, co stworzył. Teraz, gdy unosi się w chmurach opiumowego błękitu, nic nie jest w stanie ściągnąć go na ziemię.

Cocteau budzi się w ciemnej przestrzeni pustki. Bierze do ręki fajkę, lecz zamiast leczącego dymu, z jego ust poczyna wydobywać się pajęczyna, a w ślad za nią wychodzi wielki, tłusty pająk. Oplata artystę szczelnym kokonem i plecie kolejne okręgi potężnej pajęczyny. Zawiesza wszystko wśród ciepłej mgły o charakterystycznym, tak dobrze znanym Cocteau, zapachu. W nieruchomym ciele jedynie oczy mogą śledzić ruch pająka: to, jak z jego odwłoka tworzy się kolejna nić srebrnej klatki nałogu.

Cocteau patrzy na ołówek trzymany w dłoni. Nieco nerwowo zapisuje kolejną stronę notatek, obarczając ją kolejnym rysunkiem. Spogląda na swe poszarzałe, zniszczone ciało, Marek Chaczyk pokazuje mu swoje kolejne dzieła. Cocteau zamyka oczy. Woli rysować narkotyczne wizje. Oderwana ręka,

wychodzące z twarzy oczy i usta, ludzkie postacie złożone z fajek do opium. Nie ma ochoty patrzeć w lustro podawane przez Chaczyka. Zbyt szczery, zbyt bolesny obraz powoduje ukłucia w rozlanym atramencie masywu centralnego. Na kolejnych portretach mógłby zaobserwować następujące po sobie etapy własnych przemian. Odarte ze współczucia, prawdziwe, emocjonalne. „Ależ panie Cocteau, prosił pan, by obserwować i notować!”. Cocteau wie. Jest już świadomy, jakie strzępy pozostawia po sobie opium w mózgu palacza, wie już o dziurawych wnętrznościach. Jednak ciągle łudzi się, że lekarze któregoś dnia sprawią, by opium przestało być dzikim zwierzem, które kocha panować, pożąda bycia jedynym, uwielbia niszczyć. Cocteau leży, rozmyśla, marzy, tęskni. Jego ciało wypełnia wszechobecny ból, a dusza skomle o choć jedną fajkę. Artysta ucisza jęki podświadomości, prosi ciało, by uspokoiło trochę swe żarłoczne zapędy. Żywi kolejne promienie nadziei, pomimo iż doskonale wie, że w jego życiu wszystko już jest płynne. Jeśli będzie to potrzebne, znów uniesie się na fali opium. Być może zazdrości Markowi Chaczykowi jego potęgi tworzenia wszechświatów bez fajki opium w dłoni? Spogląda na niego sennie, gdy ten cicho zamyka drzwi jego pokoju. Odwraca się w stronę okna. Nie, niczego nikomu nie zazdrości, przecież bazyliśzek nie może patrzeć w swe odbicie.

Pięknie udekorowany klub nocny. Po ścianie przepływają kolorowe rybki światła, konstelacje gwiazd na suficie. Miękkie, wygodne fotele zdolne zjeść każdego, kto się w nich zatopi. Dziesiątki wijących się ciał węży o gadzich twarzach, pokrytych to liśćmi, to piekielnym ogniem. W powietrzu unosi się charakterystyczny, lekko ziołowy zapach. Marek Chaczyk schowany za jednym z foteli śledzi każdy ruch, każdy gest. Ołówek pracuje bez wytchnienia. Fenylopropylan, 3,4-metylenodioksymetamfetamina, *Psylocyble asteconum*, *Amanita muscaria*, *Erythroxyton coca*, dietyloamid kwasu lizergowego, *Cannabis Indica*... Opium – desire or will...